

LUBOMIRA BENDIK ur. 1927; Stanisławów

Tytuł fragmentu relacji	Szkoła sióstr urszulanek
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Lublin, szkoła powszechna sióstr urszulanek, gimnazjum sióstr urszulanek, Bożena Szerwentke, mundurki, mundurek, strój szkolny, ulica Narutowicza, nauczyciele, karmiciele wszy, karmiciel wszy, wszy, tyfus, gimnastyka

Szkoła sióstr urszulanek

Szkoła była fantastyczna, zostawiła ogromne piętno chyba na wszystkich jej wychowankach. To była szkoła sióstr urszulanek. Chodziłam do niej, wtedy się nazywała powszechna, no i później do gimnazjum. Dyrektorką, kierowniczką, bo tak się nazywała, szkoły powszechnej była matka Michalina Jedliczka, natomiast dyrektorką gimnazjum - matka Bożena Szerwentke, osoba o niezwyklej zupełnie osobowości, co zostało docenione wielokrotnie, przez to, że na przykład otrzymała Krzyż Zasługi za walkę z okupantem w czasie organizowania tajnego nauczania. Ona była też, została odznaczona, otrzymuje przyznane w Londynie trzy odznaczenia za postawę wobec wroga, odwagę, ofiarność i poświęcenie w okresie konspiracji. Otrzymała z Londynu Złoty Krzyż Zasługi z mieczami, Krzyż Armii Krajowej i medal Wojska Polskiego. Ona była też łącznikiem AK, łączniczką duszpasterstwa okręgu lubelskiego AK z pseudonimem Bożena. Była to niezwykła osobowość, utrzymywała kontakty z nami, jak zdałyśmy maturę, nawet już potem, jak nie była w Lublinie tylko w Krakowie. Przyjeżdżała na nasze spotkania i wszystkie cieszyliśmy się ogromnie, kiedy można było z nią jakiś kontakt mieć, a znała te wszystkie swoje uczennice tak, że podziwiam, że ona wszystkie imiona nasze znała, problemy nasze, chętnie rozmawiała, pomagała, co tylko można było, to jakoś się ogromnie udzielała.

Jak chodziliśmy do tej szkoły, jak byliśmy ubrane, bo to dzisiaj zupełnie inaczej się do szkół chodzi. Więc oczywiście miałyśmy mundurki. To były granatowe mundurki składające się ze spódnicy plisowanej, bądź w takie fałdy układanej i granatowej bluzy takiej do tego z marynarskim kołnierzem. Na brzegach tego kołnierza były białe tasiemki - szutaś to się chyba nazywało. To na co dzień był strój, natomiast na niedzielę bądź jakieś święta, to się przypinało biały kołnierz, można powiedzieć negatyw tego kołnierza granatowego, bo on był biały z granatowymi tasiemkami i z przodu miał tak zwaną duszkę - to pewnie nikt nie będzie wiedział, co to jest. W tym miejscu gdzie jest dekolt, to była taka poprzeczna wkładka, nie wiem jak to opisać... W każdym razie jak jest dekolt kołnierza w szpic, no to to była taka poprzeczka tutaj przypinana i na tej duszce wyhaftowana była litera, ponieważ to było do tego białego kołnierza, to też biała była ta duszka z wyhaftowaną literą w takim wianuszk. To było charakterystyczne dla - dzisiaj by się powiedziało "logo" Urszulanek. I taki sam znaczek metalowy, też z tym z

wianuszkami, był przyszyty do beretu granatowego, który stanowił całość z tym naszym mundurkiem. Nie wiem, to pewnie tak się powie, że ja jestem stara, to pewnie przywiązana jestem do tamtych czasów, ale podobało mi się to, bo wszystkie byłyśmy jednakowo ubrane, nie było różnicy czy dziewczynki są z jakiegoś bogatszego domu czy z biedniejszego, wszystkie nie wyróżniały się tym strojem i przez to nie było takiej konkurencji czy zawiści, a ta ma taką sukienkę, a ta ma inną i to jakoś tak przyzwoicie wyglądało.

I jak chodziłyśmy do tej szkoły, szkoła mieściła się na ulicy Narutowicza. W tej chwili tam jest biblioteka, przedszkole, ale siostry starają się, żeby odzyskać całość i otworzyć znowu szkołę. Tak jak się przychodziło do tego budynku, który mieści się między kościołem wizytek z dzisiejszą - to była dawniej szkoła Unii Lubelskiej a dzisiaj tam jest jakiś wydział pedagogiczny chyba Uniwersytetu Marii Curie Skłodowskiej, więc tam jak się przychodziło do szkoły, to wchodziłyśmy najpierw do szatni. Wiem, że nie nosiłyśmy tych worków, które teraz wszystkie dzieci noszą z ciapami, ale wkładałyśmy ciapy, więc prawdopodobnie każda z nas miała szafkę jakąś, bo nie mogę sobie tego przypomnieć. Wiem, że oczywiście w tych ciapach byłyśmy, ale worków nie nosiłam na całe szczęście. No i klasy były na piętrze, chyba na drugim piętrze i na to drugie piętro można się było dostać schodami. To były 3 pary schodów. Jedne były tak zwane "ciemne schody" - po jednej stronie. To były wąskie dosyć schody, którymi wychodziło się na pierwsze piętro i potem już takimś jakimś korytarzykiem - na troszkę szersze schody prowadzące na drugie piętro. Po drugiej stronie budynku były tak zwane schody boczne i przeważnie to tamtędy się wchodziło. Natomiast na środku były schody tak zwane królewskie i one były niedostępne w zasadzie dla uczennic, tamtędy wchodziłi profesorowie, ponieważ uczyły nas nie tylko siostry zakonne, ale byli także tacy świeccy nauczyciele. I nauczyciele tymi schodami, bądź jacyś tam goście czy ktoś z dorosłych - może rodzice koleżanek, tych, które były w internacie, to tamtymi schodami królewskimi, a dla nas całą zabawą było to, żeby przejść tymi schodami królewskimi i jeżeli któraś z nauczycielek posyłała po coś do kancelarii, która się znajdowała na parterze, no to wtedy oczywiście tymi schodami królewskimi, bo to małe szanse były, żeby można było spotkać kogoś z nauczycieli, bo to w trakcie lekcji było, żeby spotkać kogoś z nauczycieli, bądź z dyrekcji, bądź z tych sióstr, bo to przejście królewskimi schodami było bardzo, bardzo ważne. Tak że takie właśnie mam wspomnienia z tej szkoły.

Ta matka Bożena - dyrektorka - zresztą bardzo wykształcona osoba, ona uczyła propedeutyki filozofii. Z wykształcenia była biologiem, znała doskonale język niemiecki i francuski, tak że jak jakieś zastępstwa były, to czasem też udzielała tych lekcji. Natomiast wychowawczynią przed wojną była pani Dwórnik i Sofiszczenko - piękna kobieta, złoto-miedziane włosy, zielone olbrzymie oczy, piękna cera. Było szereg również innych - siostra Idalia, to były te siostry, które nas tam uczyły. Przypomniła mi się szatnia, gdzie królowała siostra Wiktoria - tam zawsze pilnowała, żeby w odpowiednim miejscu było powieszona nasze wierzchnie okrycia, ale zawsze taka dość przychylna - jak miałyśmy jakieś kłopoty czy coś, to zawsze do siostry Wiktorii po ratunek. Wychowawczyni już później w gimnazjum to była pani Zofia Kramarz - historyczka, bardzo taka surowa i zimna, ale ponieważ była naszą wychowawczynią, to dla nas miała specjalne serce otwarte i powiedziałabym konkurowała o nasze uczucia z inną panią, która prowadziła gimnastykę. Ta nauczycielka, która uczyła gimnastyki, z tym że to już było chyba w 1944 roku, zaraz po wojnie, to była młoda osoba, która straciła męża na wojnie. Jej mąż był oficerem i on zginął na wojnie. W czasie jak ten mąż poszedł na wojnę, urodził się jej synek, tak że nie wiem - miesiąc czy dwa miesiące po tym odejściu ojca do wojska. I ta pani w bardzo ciężkich warunkach była, bo ona pochodziła chyba z Baranowicz, uciekła chyba z tej strefy okupacji sowieckiej do Polski. W bardzo ciężkich była warunkach, mieszkała w malutkim pokoiku razem z tym synkiem, który wówczas miał 4 czy 5 lat, bo on się tam urodził w 1939 roku. I nie

wiedziałyśmy początkowo o tym, żeby jakoś utrzymać siebie i to dziecko, to ona karmiła wszy. To bardzo dziwne się wydaje, ale robiona była szczepionka przeciwtyfusowa i te wszy były w takim pudełeczku okrągłym z siateczką. Przystawiało się to do nogi i one karmiły się tą krwią i potem tam z tego robione były szczepionki przeciw tyfusowi. Ale ta pani w trakcie tego dłuższego czasu sama zaraziła się tyfusem i bardzo ciężko zachorowała. I jak ona zachorowała, trzeba ją było oddać do szpitala i zostało to małe dziecko. O wychowaniu naszym w szkole świadczy to, że my będąc uczennicami miałyśmy to poczucie obowiązku, które w nas wyrabiano, ogromne poczucie patriotyzmu, obowiązku, poczucie jakiegoś takiego oddziaływania społecznego. To zorientowałyśmy się, że w takiej sytuacji, ona do szpitala, ale to dziecko samo małe zostało, to każda z nas codziennie szła do tego domu i była z tym dzieckiem - jedna przed południem, druga po południu. Kto był w nocy? Może ci gospodarze, gdzie to dziecko mieszkało? I myśmy się zmieniały, na co z kolei zgodziła się dyrektorka i nasza wychowawczyni, ale nawiązała się między nami a matką tego dziecka też taka przyjaźń i teraz te dwie panie - wychowawczyni i ta, jak gdyby konkurowały o nasze uczucia w stosunku do nich, ale lubiłyśmy je bardzo obydwie i jeszcze wiele, wiele lat po maturze to kontaktowałyśmy się z nimi. Dowiedziałyśmy się później, że ten mały Andrzejek, już później zdał maturę, skończył studia i jest zdolnym bardzo inżynierem. Tak że miło nam, że to się tak skończyło. Ale to wszystko świadczyło o tej odpowiedzialności ogromnej i o wychowaniu sióstr, które w nas to wszczepiły, że uważałyśmy, że jest naszym obowiązkiem i w ten sposób się to odbywało.

Był ksiądz, który uczył w naszej szkole i uczył zdaje mi się u Zamojskiego, w każdym razie - w męskiej szkole. I ten ksiądz spełniał rolę listonosza, bo jak się rozbierał, zostawiał swój płaszcz i kapelusz gdzieś na takim wieszaku i tam się wkładało jemu za kapelusz, za tę wstążkę kapelusza jakiś liścik do tej męskiej szkoły, do któregoś tam chłopaka. No i ksiądz idąc na lekcje tam, nie wiedząc o tym, że ma ten list włożony za wstążkę, to tam się też rozbierał, ale ponieważ już chłopcy wiedzieli gdzie mają czego szukać, no to z kolei oni tam i jak odpisywali, tak że w dwie strony ksiądz spełniał tę rolę. To tak to wyglądało. Matematyki uczył profesor Mielnik, który uważał, że dziewczyny to na pewno matematyki nie będą umiały, tak że bardzo się czułam dumna i szczęśliwa, że miałam u niego czwórki. Zdaje się, że w czasie jego nauki to były tylko dwie uczennice przez tyle lat ile szkoła istniała, które miały piątkę, a tak jak się ktoś już dochrapał czwórki, to już było bardzo dobrze. Ale był bardzo sympatyczny, był świetnym nauczycielem, zwracał się zawsze do nas "panno". "No panno, co mi panna powie? No to może na tablicy mi panna napisze to". I tak w ten sposób zwykle z nami rozmawiał. Jak wyglądała gimnastyka? Była sala gimnastyczna i tam miałyśmy stroje gimnastyczne, jakieś krótkie spodenki granatowe, szczegółów nie pamiętam, ale wiem, że się przebierałyśmy. W sali gimnastycznej były drabinki, był taki ten kozioł, czy koń, jak to się nazywa, ten do skakania, materace, jakaś taka gimnastyka szwedzka była wówczas - ręce do góry, na bok, o coś takiego, no i ćwiczenia na tych przyrządach, które były, może też jeszcze jakieś skakanki, bo więcej sobie nie przypominam, jak to wyglądało. Jak była ładna pogoda, to grałyśmy też w dwa ognie i w tego palanta, bo to w tym okresie bardzo modne były gry. Było boisko, właściwie kort tenisowy i w tenisa można było grać, ale to się grało albo po godzinach, po szkole, albo też te uczennice, które były w internacie no to też miały do dyspozycji ten kort tenisowy.

W czasie wojny uczyłam się na kompletach urszulańskich, po wojnie też i tam robiłam maturę. Droga była, ponieważ ta szkoła była na Narutowicza i ja mieszkałam też na Narutowicza, no to tą jedną ulicą się szło, tylko o ile sobie przypominam wówczas była to ulica wybrukowana kocimi łbami, tak że dorożki jak jeździły czy wozy, to dosyć to było słychać, na tych kocich łbach drewniane koła dobrze dudniły.

Data i miejsce nagrania	2000-09-14, Lublin
Rozmawiał/a	Milena Migut
Transkrypcja	Milena Migut
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"